

Mateusz Matyszkowicz: Klasztor w Starobielsku

Czy życie jeńca ma coś wspólnego z życiem mniszym? Czy obóz może być klasztorem? Józef Czapski we wspomnieniach wydaje się sugerować, że tak



Czy życie jeńca ma coś wspólnego z życiem mniszym? Czy obóz może być klasztorem? Józef Czapski we wspomnieniach wydaje się sugerować, że tak.

Czapski był przewożony do Starobielska. Opisywał pierwszą noc poza granicami Polski i pierwszy postój. Stłoczeni wszyscy na niewielkiej przestrzeni zaczęli złorzeczyć. „Słuchaliśmy w ciemności tych wyzwisk i użerania się, upokorzeni do dna, i nagle ktoś zanucił: »Pod Twą obronę, Ojciec na niebie«”. Obora – jak wspomina malarz – zaczęła

śpiewać jakby była jednym człowiekiem.

To wszystko we „Wspomnieniach starobielskich” – niewielkiej książeczce wydanej na świeżo pod koniec wojny w 1944 r. Później tę broszurę połączył z obszerniejszą znacznie książką „Na nieludzkiej ziemi” i odtąd ukazują się one razem. Czapski, jako oficer Wojska Polskiego, został internowany przez sowieckie władze i razem z innymi oficerami zamknięty w jednym z obozów. Jego miejscem przeznaczenia okazał się Starobielsk.

Czapski został cudem ocalony. Skierowany do łagru i uwolniony ostatecznie po Układzie Sikorski–Majski trafił potem do armii gen. Władysława Andersa. Jego upór okazał się wtedy bezcenny. To właśnie Czapskiemu (podobnie jak po I wojnie światowej) zostaje powierzona misja odnalezienia zaginionych oficerów. Prawdy o nich bowiem jeszcze nie znano.

„Wspomnienia starobielskie” są zapisem dość suchym, pozbawionym niepotrzebnych odnośników. Nie ma tu wielkich rozważań. Czapski zdaje się powstrzymywać chęć dopowiadania i prawienia kazań. A mimo to pozostawił po sobie, owszem, suchy zapis, ale taki, który prowadzi gdzieś dalej, przenosi poza to, co widzialne. To był zresztą jeden z najważniejszych problemów Czapskiego malarza. Wiecznie niezadowolony ze swojego malarstwa, narzekał, że nie może czegoś „przyspilić”, że się „odkleja” – cały czas jest jakieś coś, które umyka pędzlowi i nie może się zmaterializować. To doświadczenie malarskie ma charakter mistyczny – nie sposób bowiem uniknąć myśli, że niezadowolenie Czapskiego bierze się z przekonania, że, z jednej strony, są rzeczy, które umykają najgenialniejszemu nawet malarzowi, a z drugiej, nie ma on innego sposobu wyrażania niż za pomocą plam barwnych. Podobnie jest z pisarstwem Czapskiego.

Ale mimo to, jak Czapski malarz poczuwa się do obowiązku dalszego malowania – podobnie do Cezanne’a, który malowałby nawet wtedy, gdyby się dowiedział o rychłym końcu świata – tak Czapski pisarz wie, że musi pisać, dając świadectwo swojego doświadczenia katyńskiego. O innych jeńcach mówi najczęściej „koledzy”. To z kolegami był uwięziony i kolegów potem poszukiwał na terenie całych Sowietów. Kolega to coś więcej niż rodak lub abstrakcyjny człowiek. Kolega jest realny, rozpoznawalny, ma twarz, jest – w chrześcijańskim sensie – bratem. Zresztą i słowo brat pojawia się we wspomnieniach kilka razy.

Czym jest to więcej? Jak o tym napisać, by nie przekraczać granic, które wytyczył sam Czapski?

Zbieranie trawek i kłosów

Czapski opisuje historię przyrodnika z Poznania, prof. Ralskiego. Dostał on wiadomość od żony, że Niemcy wyeksmitowali ich z mieszkania. Pozwolili zabrać ze sobą tylko jedną walizkę. Pozostały gromadzone przez lata zapisy z badań, które prowadził Ralski. Jego praca na temat traw była we wrześniu 1939 r. prawie ukończona – teraz wszystko było już właściwie nie do odtworzenia. Taką miał świadomość w drodze do Starobielska.

Kiedy dojechał, zaczął pracę na nowo. Tym razem zajął się starobielską fauną. Notował wszystko w kajetach. Pewnego dnia został wywieziony pociągiem w nieznanym kierunku. Znowu praca pozostała niedokończona. Pisze Czapski: „Jeżeli ten uczony, człowiek czarującej dobroci i wielkiego charakteru, dostał wraz z innymi kulą w nasadę czaszki, zachował na pewno do ostatniej chwili tę samą równowagę ducha, która ani na chwilę nie opuściła go w ciągu ciężkiej zimy, któreśmy spędzili” – ten fragment naprowadził mnie na pewien trop interpretacyjny. Czym obóz jeniecki różni się od klasztoru? Czym to

zbiorowisko pojmanych od mniszej wspólnoty? Czy w jednym i drugim występują podobne zjawiska i zachowania?

Trop nie opiera się oczywiście tylko na tym jednym fragmencie. Jest coś więcej. Sowieci mieli zwyczaj przerabiania monasterów na więzienia. Tak było w Kozielsku – tam za obóz służyły budowle historycznej Pustelni Optyńskiej, jednego z centrów duchowego życia dawnej Rosji. Pustelnię Optyńską upodobał sobie Fiodor Dostojewski i właśnie tam umieścił swojego starca Zosimę. Kolejni byli bolszewicy i ich więźniowie.

Klasztor w Starobielsku ufundował natomiast pułkownik Bylicz po wojnie krymskiej. Sam pochodził z bardzo starej tatarskiej rodziny, a przez swoje votum chciał ustanowić ochronkę dla sierot, którą prowadziłyby zakonnice. Wdowa po pułkowniku została pierwszą przełożoną. I tak było do rewolucji.

W 1940 r. właśnie tu trafili polscy jeńcy. Ci, którzy – jak początkowo sam Czapski – nie zmieścili się w klasztornych zabudowaniach, zostali umieszczeni w innych budynkach miasta. Upchani, jeden na drugim. „Trzymano nas kilkuset na otoczonym murami podwórzu” – to jakiś nowy klasztor, a przynajmniej powstała wspólnota przypominająca klasztorną. Odkryli ślady wcześniejszych egzekucji, krew i dziury po kulach. Tu rozstrzeliwano burżujów. Dziury takie, jak w murze przyklasztornym – tam zabijano zakonnice.

Pomimo trudów więźniowie podejmowali się typowo mniszych prac. Wspomniany wyżej prof. Ralski zbierał i opisywał rośliny. Sam Czapski pisał tam w obozie historię malarstwa. Spisywanie tej historii bez typowych dla humanisty narzędzi, bez biblioteki, fiszek i wcześniejszych zapisków, wygląda na pracę heroiczną. Czapski wspominał to jako niezwykle doświadczenie wewnętrzne, kiedy to człowiek zostaje zdany wyłącznie na własną pamięć, zmuszony jest

przemierzać swoją duszę i wydobywać informacje, których wcześniej sobie nie uświadamiał. Człowiek otoczony biblioteką zapomina szybko, przyzwyczajony do wygody sięgania na półki, bez zbędnego wysiłku obciążania pamięci namiarem faktów. W obozie ma tylko pamięć – a więc i tylko wewnętrzne życie duszy. Człowiek czytający korzysta z tego, co znajduje się przed nim. Pamiętający zaś tylko z tego, co wewnątrz. Czytający nie musi zbyt daleko zapuszczać się w siebie. Pamiętający nie ma innego wyboru.

Obóz i świat widzialny

Klasztor dostał nową funkcję. Zamiast dobrowolnych ślubów – miejsce przymusowego zamknięcia. Jak się wydaje dobrowolne czy niedobrowolne zamknięcie nie oznacza do końca odosobnienia. Chociaż mówimy czasem, że więzienie to miejsce odosobnienia i podobnie wyrażamy się o klasztornych murach. W jednym i drugim przypadku to jest jednak nieporozumienie. Odcięcie jest tylko pozorem.

Po pierwsze, ci za klasztorными murami nigdy nie zrywają więzi z całą społecznością. Przeciwnie, doświadczają jej być może bardziej niż ci, którzy żyją w samym centrum miasta. Mnisi i mniszki włączają się w modlitwę całego Kościoła. Więźniowie łakną zaś wszelkich wieści zza murów. W poprzednim artykule wspomniałem, jak wiele miejsca Józef Mackiewicz poświęcił zbieranym gazetom. W „The Katyn Wood Murders” pisał, że nawet zakłamana propagandowa gazeta jest dla żołnierza cenną informacją. Czapski zaś opisuje nasłuchiwanie moskiewskiego radia.

Ci zaś, którzy pozostają na wolności, jakbyśmy powiedzieli: w świecie, swoją uwagę kierują ku temu, co odgródzone murem. Piszą listy, dowiadują się w urzędach, wypatrują na stacjach, jak dwie siostry

Czapskiego, które regularnie stały na mrozie, czekając, czy nie nadjedzie pociąg z bratem. Obie strony łakną siebie nawzajem i wystarczy choćby drobny znak.

Po drugie, stłoczenie ludzkiej masy na niewielkiej przestrzeni wymusza nowe interakcje wewnątrz tej nowej wspólnoty. To zupełnie nowa intensywność nieznana tym, którzy mają do dyspozycji większą przestrzeń i liczniejszą grupę ludzi – takich, którzy współtowarzyszy mogą wybierać i wymieniać. Właśnie dlatego życie klasztorne potrzebuje reguły. Wejście w historię monastycyzmu europejskiego pokazuje, jak stłoczenie w jednych murach dużej grupy może ujawnić patologie – czasem na skalę większą niż w życiu świeckim. W regułach widać także, jak ważne jest wspólne życie – św. Benedykt pokazuje wyraźnie jego wyższość nad życiem odosobnionym. Ważna jest zarówno wspólna modlitwa, jak i praca, a nawet wypoczynek. W klasztorach tak zwana rekreacja nie jest przywilejem, ale obowiązkiem.

Kiedy więc czyta się regułę benedyktyńską, nie sposób myśleć i o innych wspólnotach, choć zgromadzonych już nie dobrowolnie i w intencji wcale nie ku Bożej Chwale.

Tak wyglądają te wspólnoty ad extra – w relacji do tego, co na zewnątrz, i ad intra – w relacjach w obrębie klasztornych czy więziennych murów.

Za murami klasztoru

Czapskiego przenoszą wreszcie za właściwe klasztorne mury. Obóz w końcu stopniowo pustoszeje i robi się więcej miejsca. „Spędzone tu zostały w tę przedwczesną śnieżną i mroźną jesień tysiące ludzi oberwanych i zasuszonych” – jak mnisi w najpokorniejszych i najnędniejszych habitach. Nie musieli składać ślubu ubóstwa – to ich dopadło samo, a raczej za sprawą bolszewików. Przede wszystkim

jednak przymuszeni do życia razem. „Brak samotności ciążył nam bardziej niż brud, głód i wszy”. Ten klasztor wydaje się wcale nie uświęcać. Na próżno szukać teraz tych uniesień, które towarzyszyły pierwszym dniom, kiedy śpiewano „Pod Twą obronę”. Podłe warunki zaczęły wymuszać podobne zachowania. „Jakby razem z wszami i łąchmanami, razem ze zmianą eleganckich mundurów na pobrudzone i wymięte lub sowieckie fufajki, niejeden z nich sam się w szmatę zamienił”. Jeńcy zaczęli się kłócić i bić. Jeśli ktoś myśli, że w ten sposób rozchodzą się drogi klasztoru i obozu, ten się myli. Po obleczynach i ślubach rozpoczynają się bowiem największe ataki szatana. Wspólne życie zaczyna się wydawać ciężarem nie do udźwignięcia. Nieznane ze świeckiego życia codzienne oglądanie wyłącznie tych samych twarzy, wymuszane rozmowy z tymi samymi interlokutorami – klasztorne życie staje się nieznośne. Przychodzą i wstępują tu sami grzesznicy i teraz, we wspólnym życiu, widzą to coraz wyraźniej.

I podobnie jak sięgnięcie do własnej pamięci, bez protezy wcześniejszych zapisów i bibliotecznych ksiąg, uruchamia wewnętrzne życie duszy i odsłania ją przed świadomym podmiotem, tak wspólne życie pozwala zobaczyć skalę własnej grzeszności. W obozie ujawniają się grzeszność i świętość w postaciach o wiele skrajniejszych niż w naturalnych warunkach. W ten sposób wspólne życie staje się częścią autoanalizy, wniknięciem w najgłębsze motywy działania.

Dopiero z czasem Czapski zaczyna dostrzegać w nich współtowarzyszy cierpienia. Uczestniczy w nabożeństwach. Ich kapelan, ks. Aleksandrowicz, 11 listopada tłumaczy im Ewangelię o uzdrowieniu córki Jaira. Ten osłuchany przez lata tekst zaczyna w obozie nabierać nowego znaczenia. I słowa Talitha Kum! – wstań, dziewczeczko, i przede wszystkim: „dzieweczka nie umarła, ale śpi”. „Tej Ewangelii, którą znali wszyscy, teraz słuchali tak, jakby ją słyszeli po raz pierwszy, i płakali w skrusze, że byli tak małej wiary i że mieli chwile, w których wątpili, że

»dzieweczka nie umarła, ale śpi«.

Skłonny do mistycznych uniesień Czapski – ten, którego znamy z jego zapisków, gdzie co drugi dzień jest cytata ze św. Jana od Krzyża lub z Simone Weil, teraz więcej o tym nie mówi. Nie robi egzegezy ani wchodzi głębiej w stany duszy. Zostawia czytelników z samą tą ewangelią. A wydaje się, że właśnie to ten moment ze „Wspomnień starobielskich”, który – bardziej niż wspomniany na początku śpiew – zamienił zwykłą grupę więźniów w monastyczną wspólnotę. Dał jej bowiem dwie rzeczy. Pamięć o końcu – memento mori – i chrześcijańską nadzieję. W końcu klasztor, jak obóz w Starobielsku, jest wspólnotą dążących do śmierci – tych, którzy bardziej od ludzi światowych uświadamiają sobie jej nieuchronność i myślą o tym, co zastaną po drugiej stronie.

Po tym 11 listopada księdza Aleksandrowicza zabrano, podobnie jak i rabina. Dla bolszewików takie kazania to było zbyt wiele. „Kiedy w nocy zabierano ks. Aleksandrowicza, opowiadano mi, że się bał, był bardzo blady. [...] Ks. Aleksandrowicz zwlekał, jakby czuł, że nigdy więcej nie zobaczy kolegów, z którymi te trzy miesiące przeżył i do których jak do braci się przywiązał”.

Ksiądz jako pierwszy poszedł tam, gdzie zmierzali oni wszyscy.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w Nowym Państwie Numer 11 (69)/2011